

Malarstwo Piotra Turka

ROZMOWY KOLOROWANE

Wyobraźmy sobie taki stan nadzwyczajny, w którym za każdym razem w telefonie odzywałby się głos z komunikatem: rozmowa kolorowana, rozmowa kolorowana. Po czym jakaś sztuczna inteligencja tak przetwarzałaby głosy rozmówców, by niczym gwiazdy opery popisywali się koloraturowymi trelami. Albo inaczej: każda wypowiedź przetwarzana byłaby na kod kolorystyczny – kombinację kolorowych pasków i plam. Kto wtedy potrafiłby nagadać najlepsze obrazy?

Prawdziwa rozmowa jest sztuką. Rozmowy istotne giną w szumie rozmów banalnych. Codzienne ustalenia, wernisażowe konwersacje, telefoniczne gadki-szmatki, small talk podczas garden party. Można je nasycać żarcikami lub bon motami, podbarwiać intonacją, ale co zrobić, by załśniły pełnym blaskiem sensu? Prawdziwa sztuka jest rozmową – z Absolutem, z odbiorcami, z tradycją, z dziełem. To istny cud, gdy malarz przemawia do obrazu albo poprzez obraz i spotyka się z odpowiedzią. Pyta i słyszy odzew: gama kolorów przechodzi w gamę dźwięków. Słuchamy tego z boku i dośpiewujemy sobie jakieś historie.

Piotr Turek kieruje w stronę swoich płócien impastowe zaczepki. Niby niewinnie zagaja: „Przepraszam, czy ten kolor nie jest za ostry? Czy zagramy dzisiaj w pejzażowe skojarzenia? Mam wpuścić do wnętrza trochę powietrza, poszerzyć przedstawioną przestrzeń?” Pyta i czeka na odpowiedź. Daje się prowadzić obrazowi, z biegiem lat bardziej słucha niż sam mówi. Zmniejszył formaty, jakby szukał skupienia, kondensacji. Coraz starszy wszechświat podobno się rozszerza, kosmos dojrzałego artysty zagęszcza się, eksplodując co pewien czas (nie)wielkimi wybuchami materii przemienianej w energię.

Sztandarowym cyklem, obecnym od 30 lat na wystawach łódzkiego malarza, są „Rozmowy koloraturowe”. To już kilkadziesiąt obrazów o takim tytule, ponumerowanych rzymskimi liczbami. Co ciekawe, numery mogą się powtarzać, gdyż przy obrazach z kolejnego roku artysta zaczyna nadawać numery od nowa... Jakby te same rozmowy powtarzały się co rok w innym kontekście. Na wystawach regularnie pojawiają się też „Paralele”, czyli rozmowy między (bardzo) dawnymi i młodszymi laty. Konturowe sylwetki ludzi (współczesnych) wypełnione setkami ludzików rodem z prehistorycznych, naskalnych malowideł. Kształty, kolory, symbole i sytuacje nakładają się na siebie, tworząc uniwersalne przedstawienia ludzkiej natury, przenosząc historię człowieka z osi czasu w trójwymiarową przestrzeń archetypicznych wyobrażeń. Turek w ogóle maluje cyklami: były „Dualisy” i „Wibracje”, teraz powstają „Lśnienia” i „Luminiscencje”. Te serie mają oczywiście wspólny mianownik, ale nie przesadzajmy – czasami, by przypisać obraz do cyklu, sam autor musi zajrzeć na drugą stronę... obrazu.

Piotr Turek jest samotnikiem, trochę outsiderem. Gdy odwiedza się go w pracowni, dużo mówi, opowiada. Ale też uważnie słucha, zaskakuje przywoływaniem fragmentów poprzednich rozmów. Dobrze pamięta, co kto powiedział, jest uważny. Rozmawiamy o świetle, o geografii, o bliższych i dalszych mistrzach. Nieoczekiwanie wspomina o Iwanie Szyszkynie, Ilji Riepinie i Iwanie Ajwazowskim. Nie trzeba malować pod słońcem Południa.

Mieszka na dalekim przedmieściu, dosłownie pod lasem – las objął tam bowiem w posiadanie górę, trochę czarodziejską – jest nawet sanatorium i Dolina Szwajcarska. Wbrew pozorom może to mieć znaczenie. Artyści z dalekich przedmieść działają na marginesie. Czasami nie mogą zdążyć na ważne wernisaże, często nie chce im się przebierać za artystę. Malują w pracowni urządzonej w

ogrodowym domku, gdy muszą coś załatwić, wsiadają na rower (Piotr Turek zawsze w swoim słynnym kasku). Cykl „Kadencja” właśnie do rowerowej terminologii się odwołuje. Słowo to oznacza częstotliwość pedałowania, liczbę obrotów korby na minutę, intensywność. By jechać szybko i się nie męczyć, należy utrzymywać stałą, wysoką kadencję. Czy stałą kadencję należy też utrzymywać w pracy artystycznej?

Te obrazy są liryczne, ale jednocześnie ostre, zadziorne. Dobre dla lubiących sugestię opowieści, ale nie ilustracyjne, nie przegadane. Świeże, a przy tym szlachetne w dawnym stylu, jakby pochodziły z epoki, gdy malarze jeszcze osobiście ucierali cenne pigmenty. Bo w końcu chodzi o to, żeby coś dobrze namalować, a przy tym ujawnić swoją specyfikę, własne wizje, przemyślenia oraz niepokoje radośnie i odważnie przekształcić w sztukę. Turek to ma, ma swój rozpoznawalny styl, swoją paletę opartą o błękity i turkus, skontrastowane z oranżem, wyrazistą czerwień, dopełnione umbrą, ugrami, szarością. Subtelnie operuje światłem, balansując na granicy fizyki i metafizyki. Te obrazy są zadziorne, jakby wydarte wielokrotnie malowanej ścianie, ale jednocześnie są optymistyczne, w pewien sposób radosne.

Zdarzyło mi się słuchać wierszy czytanych w obcym języku, zdarzyło mi się nawet czytać swoje utwory ludziom nieznającym polskiego. Wiersz o drzewach niech wybrzmi jak szum lasu. Ktoś recytuje poezję w nieznanym nam języku (na przykład tureckim), a nam się dobrze tego słucha. Coś sobie wyobrażamy, dopowiadamy, intuicyjnie odbieramy przekaz, nastawienie, nastrój. Ktoś inny maluje obraz w nieznanym nam języku...

Piotr Grobliński, tekst z folderu wystawy